

Barbara Jaroszuk

"O tej porze wszystko miesza się i godzi : czyli o stawce pewnej argentyńskiej gry w postkolonializm

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (150), 321-342

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Barbara Jaroszuk

„O tej porze wszystko miesza się i godzi” – czyli o stawce pewnej argentyńskiej gry w postkolonializm

1. Tło, czyli o latynoamerykańskich/latynoameryka- nistycznych oporach względem postkolonializmu

Ameryka Łacińska, taka, jaka istnieje obecnie, powstała dzięki kolonizacji – choć niektórzy, obawiając się tego z natury pozytywnie nacechowanego przymyka, użyliby tu raczej neutralnego „wskutek” albo sięgnęliby po mgliście negatywne i, oczywiście, rządzące innym przypadkiem „przez”. Te kłopoty z doborem odpowiedniego przymyka to preludium do rozważań odnoszących się do jednej z tych części świata, w wypadku których zespół zjawisk określanых mianem kolonializmu stanowi z jednej strony swego rodzaju „grzech pierworodny”, z drugiej zaś decyduje o ich tożsamości.

Tak czy inaczej, abstrahując chwilowo od tych czyhających już na wstępie językowych pułapek, wolno chyba z całym spokojem powiedzieć, że odwołując się do politycznej, ekonomicznej i kulturowej historii Ameryki Łacińskiej, można stworzyć wyjątkowo bogaty katalog zmieniających się przez wieki odmian kolonizacji i mechanizmów kolonizacyjnych. Wydawałoby się zatem, że region ten dla badań postkolonialnych

Barbara

Jaroszuk – dr, pracuje w Zakładzie Literatur Hiszpańskiego Obszaru Językowego w Instytucie Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich UW, zajmuje się prozą argentyńską. Tłumaczka m.in. powieści Carlosa Fuentes i Ricarda Piglia, laureatka nagrody „Nowa twarz”, przyznawanej przez redakcję „Literatury na Świecie”, oraz Nagrody Instytutu Cervantesa. Kontakt: bjaroszuk@uw.edu.pl

stanowi obiekt co najmniej tak samo wdzięczny jak przykładowo tzw. Orient, Afryka, Indie czy Australia. Istnieją oczywiście dyskusje na temat tego, jak dalece wolno poszerzać zakres projektu postkolonialnego, ale jeśli założyć, że badania postkolonialne powinny skupić się na opisie „relacji kultur, z których jedna z racji swej egzotyki lub oddalenia od uznanych centrów nie miała własnej reprezentacji – była skazana na obcy dyskurs”¹, to Ameryka Łacińska generalnie, a literatura latynoamerykańska w szczególności zdają się pozostawać uprawnionym obiektem takiego opisu.

Niemniej używanie narzędzi postkolonialnych do badania Ameryki Łacińskiej jeszcze niedawno wzbudzało liczne wątpliwości. Jak pisze Bill Ashcroft, długo istniał „znaczący opór wobec konceptu latynoamerykańskiego postkolonializmu”². Niektórzy badacze, jak Santiago Colás, twierdzili np., że zrodzonego w dawnych brytyjskich koloniach postkolonializmu nie da się odnosić do realiów latynoamerykańskich, ponieważ kolonizowanie Ameryki Łacińskiej i, dajmy na to, Indii, odbywało się

w innych momentach historycznych, kolonizatorzy należeli do innych nacji i do innych klas społecznych w obrębie tych nacji, nacje te zaś z kolei zajmowały inne pozycje na forum międzynarodowym. Co więcej, kolonizowane „odległe terytoria” były geograficznie odmienne, „implantacja” przebiegała tam na innych zasadach, a tamtejsi mieszkańcy rozwinęli inne społeczne i kulturowe nawyki.³

Z perspektywy tak nastawionych badaczy postkolonializm jawił się jako broń obosieczna: przykłady hurto do rozmaitych obszarów kulturowych, z narzędzia wyzwalania się od zaszłości kolonialnych zamieniał się

1 G. Borkowska *Polskie doświadczenie kolonialne*, „Teksty Drugie” 2007 nr 4, s. 16.

2 B. Ashcroft *Modernity's first-born: Latin America and post-colonial transformation*, w: *El debate de la postcolonialidad en Latinoamérica. Una postmodernidad periférica o cambio de paradigma en el pensamiento latinoamericano*, ed. A. i F. de Toro, Iberoamericana/Vervuert, Madrid–Frankfurt am Mein 1999, s. 13. [Wszystkie teksty obcojęzyczne, jeśli nie zaznaczono inaczej, w przekładzie autorki]. Choć już w 1992 roku ukazała się istotna dla badań postkolonialnych w Ameryce Łacińskiej książka pod tytułem *Crítica y descolonización: El sujeto colonial en la cultura latinoamericana*, ed. B. González, L.H. Costigan, Academia Nacional de la Historia, Caracas 1992.

3 S. Colás *Of Creole symptoms, Cuban fantasies, and other Latin American postcolonial ideologies*, „Publications of the Modern Language Association of America” 1995 vol. 110, s. 383.

w nowy dyskurs kolonizujący⁴. Colás postulował więc stworzenie takiej teorii, która uwypuklałaby odmiennność kontekstu latynoamerykańskiego, nie pozwalając go roztopić w ogólnych studiach postkolonialnych. Podobne stanowisko zdawał się zajmować Walter D. Mignolo, gdy, zgadzając się poniekąd z Colásem, pisał, że zamiast przykrawać zrodzone w Indiach teorie postkolonialne do realiów latynoamerykańskich, należałoby się zastanowić, jakie analogiczne do nich ruchy intelektualne rozwinęły się niezależnie w Ameryce Łacińskiej⁵.

Tendencje tego typu, dawało się zdaniem Mignola obserwować w Ameryce Łacińskiej co najmniej od początku XX wieku, a narodziły się one za sprawą m.in. José Carlosa Mariáteguiego, Edmunda O’Gormana, Rodolfa Kuscha, Enrique Dussela, Raúla Prebischa czy Darcy’ego Ribeiry. Meksykanin Leopoldo Zea wydał w 1958 roku książkę zatytułowaną *América en la historia* na temat stosunku latynoamerykańskich intelektualistów do tradycji Zachodu, a Kubańczyk Roberto Fernández Retamar opublikował w 1971 roku esej pt. *Kaliban*, który stał się latynoamerykańskim manifestem antykolonialnym. W ten nurt wpisywał się też kubański antropolog Fernando Ortiz ze swoją koncepcją kultury latynoamerykańskiej jako neokulturacją zaczerpniętych od metropolii modeli⁶, a także Ángel Rama rozwijający podobną myśl w *Transculturación narrativa en América Latina* z 1982 roku.

W związku z tym Mignolo, przyznając jednocześnie, że w ostatnich dziesięcioleciach XX wieku w wielu częściach świata skryształizowały się analogiczne formy oporu wobec praktyk kolonialistycznych, ukuł swoje znane pojęcie: „postokcydentalizm” i sformułował dość szeroko zakrojoną, a przy tym, zdaje się, stosunkowo ryzykowną tezę, wedle której, jak podsumował to inny badacz, Santiago Castro-Gómez, mamy do czynienia z

trzema typami teorii, związanych z różnymi *loci* i epistemologicznie wykraczających poza kolonialne dziedzictwo modernizmu:

4 Pułapkę tę, wychodząc z nieco innego punktu, dostrzegli zresztą nie tylko badacze latynoamerykańscy, por. H. Bhabha *Mimikra i ludzie. O dwuznaczności dyskursu kolonialnego*, przeł. T. Dobrogoszcz, „Literatura na Świecie” 2008 nr 1/2, s. 184-195.

5 Zob. W.D. Mignolo *Posoccidentalismo: las epistemologías fronterizas y el dilema de los estudios (latinoamericanos) de área* „Revista Iberoamericana”, Julio-Dicembre 1996 Núm 176-177, LXII, s. 679-696.

6 Koncepcją przedstawioną w wydanej w 1940 roku książce pod tytułem *Contrapunteo cubano del tabaco y el azúcar*.

z postmodernizmem, postkolonializmem i postokcydentalizmem. Podczas gdy teorie postmodernistyczne wyrażają kryzys projektu modernistycznego w samym sercu Europy (Foucault, Lyotard, Derida) i Stanów Zjednoczonych (Jameson), teorie postkolonialne robią to samo, tyle że z perspektywy wyzwolonych niedawno, bo po drugiej wojnie światowej kolonii, jak w przypadku Indii (Guha, Bhabha, Spivak) i Bliskiego Wschodu (Said). Teorie postokcydentalistyczne z kolei wywodzą się z Ameryki Łacińskiej.⁷

Podsumowując te i inne próby ustosunkowania się do studiów postkolonialnych w Ameryce Łacińskiej, Bill Ashcroft stwierdził, że obserwowany przez niego początkowy wobec nich opór wiązał się zapewne z przekonaniem, że postkolonializm to „dziecko poststrukturalizmu, poczęte na uniwersytetach kulturowego centrum”, ale że nawet ci badacze, którzy, jak Mignolo, trafnie spostrzegli jego peryferyjny rodowód, długo wykazywali „silne przekonanie o podstawowej odmienności latynoamerykańskiego postkolonializmu”. Ashcroft zastanawiał się jednak, czy „ta odmiennosc nie jest aby bardziej funkcją pragnienia niż rzeczywistości”⁸, i optował za innym rozwiązaniem problemu. Zauważył bowiem, że

w istocie swojej kolonizacja Ameryki Łacińskiej zmusza nas do przyjęcia się problemowi postkolonializmu u jego początków, w momencie kształtowania się nowoczesności. Dziewiętnastowieczny i dwudziestowieczny brytyjski imperializm jest przykładem odśrodkowego ruchu, przez który europejska nowoczesność i myśl Oświecenia były hegemonicznie dystrybuowane na całym świecie. Natomiast przyglądając się Ameryce Łacińskiej [...], odkrywamy, że imperialna ekspansja to coś więcej niż rozprzestrzenianie europejskich kulturowych wartości i założeń na eurocentrycznie skonfigurowany świat, to warunek powstania nowoczesnej Europy jako takiej.⁹

Dlatego, nazywając Amerykę Łacińską „pierworodnym dzieckiem nowoczesności”, natychmiast odesłanym na peryferie świata, Ashcroft

7 S. Castro-Gómez *Epistemologías coloniales, saberes latinoamericanos: el proyecto teórico de los estudios subalternos*, w: *El debate de la postcolonialidad en Latinoamérica...*, s. 87.

8 B. Ashcroft, *Modernity's first-born...*, s. 15.

9 Tamże, s. 17.

twierdził, że „złożoność latynoamerykańskiego postkolonialnego społeczeństwa, nie wymagając bynajmniej uciekania się do teorii o jakiejś latynoamerykańskiej esencjalistycznej odmienności, dostarcza podstaw do coraz bardziej wyrafinowanego rozumienia postkolonialnych relacji na całym świecie”¹⁰.

2. Postkolonializm a latynoamerykańska tożsamość, czyli o pewnej zmianie paradygmatu

W podobną stronę co Ashcroft idzie Alfonso de Toro, który, nie doszukując się już żadnej „odmienności” latynoamerykańskich studiów postkolonialnych, dostrzega w studiach postkolonialnych w ogóle szansę na rozwój myśli o/w Ameryce Łacińskiej i wiąże z nimi zdecydowaną zmianę paradygmatu w badaniach latynoamerykańskich i latynoamerykanistycznych. Zmiana ta miałaby polegać na tym, że latynoamerykańscy i zajmujący się Ameryką Łacińską

intelektualiści i teoretycy ostatecznie decydują się u m i e j s c o w i ć kulturę w tej przestrzeni „ekstraterytorialnej” [...], o której mówi Bhabha, [...] i operują w tej przestrzeni, nie przyjmując przy tym marginalizującej postawy peryferyjnej, polegającej na powtarzaniu albo po prostu odrzucaniu „tego co nie jest czysto latynoamerykańskie” i na traktowaniu wszelkiej myśli pochodzącej spoza Ameryki Łacińskiej jako eurocentrycznej albo hegemonicznej strategii wypracowanej przez centrum dla zdominowania peryferii.¹¹

Wedle de Toro zmiana ta jest możliwa dzięki związanym z globalizacją przekształceniom dynamiki stosunków międzykulturowych, owocującym czymś, co określa on mianem „kondycji postkolonialnej”, w ramach której różnice między centrum a peryferiami rozmywają się, bo dzięki mnogości kanałów komunikacyjnych dominujący dyskurs centrum zostaje zrelatywizowany, a jednostronny wcześniej układ zależności ustępuje miejsca sieci wzajemnych wpływów. Narzędziem do badania tak rozumianej „kondycji

¹⁰ Tamże, s. 16.

¹¹ A. de Toro *La postcolonialidad en Latinoamérica en la era de la globalización. ¿Cambio de paradigma en el pensamiento teórico-cultural latinoamericano?*, w: *El debate de la postcolonialidad en Latinoamérica...*, s. 45.

postkolonialnej” staje się, według de Toro, kategoria hybrydyczności. I rzeczywiście, śledząc rozwój latynoamerykańskiego i latynoamerykanistycznego dyskursu na tematy związane z postkolonializmem, można odnieść wrażenie, że sygnalizowana przez de Toro zmiana dokonuje się na naszych oczach, a badania nad globalizacją i związaną z nią hybrydycznością kulturową kwitną¹². Przy czym, co ciekawe, na razie przyjmują raczej postać rozważań teoretyczno-kulturowych, natomiast dyskurs *stricte* literaturoznawczy zdają się kształtować w bardzo małym stopniu. A przecież to właśnie literatura latynoamerykańska dostarcza niesłychanego bogactwa materiału dla tego typu studiów.

Oczywiście – dodajmy dla równowagi – proponowana przez de Toro pozytywna wizja przebiegu i skutków globalizacji i jej dobroczynnych z perspektywy postkolonialnej konsekwencji dla stosunków między centrum i peryferiami wzbudza silny sprzeciw. Przykładowo Fernando Reati kwituje ją, przywołując złośliwą definicję Carlosa Monsiváis, według której „globalizacja znaczy, że wszystko, co dzieje się w Nowym Jorku czy Los Angeles ma ogromny wpływ na to, co dzieje się w Puebli czy Hermosillo, ale to, co dzieje się w Puebli czy Hermosillo, nie ma na najmniejszego wpływu na to, co dzieje się w Nowym Jorku czy Los Angeles”¹³. Reati pisze też, że

wobec dylematów związanych z globalizacją da się zaobserwować dwie postawy, w zależności od tego, czy ktoś koncentruje się na kwestiach kulturowych, czy ekonomicznych. Fredric Jameson zwraca uwagę na to, że ci, którzy kładą nacisk na sprawy kulturowe, zwykli

12 Por. np. N. García Canclini *Culturas híbridas. Estrategias para entrar y salir de la modernidad*, Paidós, Buenos Aires 2001 oraz tegoż *Globalización e interculturalidad: próximos escenarios en América Latina*, w: *Cartografías y estrategias de la „postmodernidad” y la „postcolonialidad” en Latinoamérica*, Iberoamericana, Madrid 2006, s. 129-141; *Nuevas perspectivas desde/sobre América Latina: el desafío de los estudios culturales*, ed. M. Moraña, Cuarto Propio, Santiago de Chile 2000; A. de Toro *Introducción. Más allá de la „postmodernidad”, „postcolonialidad” y „globalización”: hacia una teoría de hibridez* oraz tegoż *Hacia una teoría de la cultura de la „hibridez” como sistema científico „transrelacional”, „transversal” y „tansmedial”*, w: *Cartografías...*, s. 195-241.

13 F. Reati *Postales del porvenir. La literatura de anticipación en la Argentina neoliberal (1985-1999)*, Biblos, Buenos Aires 2006, s. 21. Kwestię stosunków między centrum i peryferiami w dobie globalizacji rozważa Carlos Monsiváis w artykule zatytułowanym *De la frontera y el centro. Encuentro de mitologías*, zamieszczonym w tomie *Procesos culturales de fin de milenio*, ed. J.M. Valenzuela Arce, Centro Cultural Tijuana y Consejo Nacional para la Cultura y las Artes, Tijuana 1998, s. 167-181.

gloryfikować globalizację jako źródło różnicy, pluralizmu, wielokulturowości, interakcji i hybrydyczności; ci z kolei, których interesuje wymiar ekonomiczny, dostrzegają jej efekty negatywne, takie jak wszechobecność strategii kapitalistycznych, standaryzacja i zanik silnych wspólnot narodowych, amerykanizacja całego globu i niszczenie kultur lokalnych.¹⁴

Jednak bez względu na to, czy rację mają piewcy czy krytycy globalizacji i czy paradygmat stosunków między centrum i peryferiami rzeczywiście zmienia się w sposób opisywany/postulowany przez de Toro, globalizacja i związany z nią, a obserwowalny w Ameryce Łacińskiej rozkwit badań nad hybrydycznością z pewnością sprzyjają przewartościowaniom w myśleniu o centralnym dla kultury latynoamerykańskiej problemie tożsamości.

Problem ten, którego związkom z ideologią postkolonialną przyjrzymy się tu na przykładzie Argentyny, pozostaje w centrum tamtejszej debaty politycznej i literackiej (przy czym w XIX wieku jest to jedna i ta sama debata) właściwie od początku jej istnienia. Jeśli narody, jak chciał Edward Said, są narracjami, w wypadku narodów Ameryki Łacińskiej, które dopiero dwa wieki temu zaczęły tworzyć swoją tożsamość, w dużej mierze rękami elit piszących, proces tworzenia tych narracji można obserwować wyjątkowo dokładnie, niejako krok po kroku. Narrację argentyńską od samego początku cechuje niepewność, gdzie w świecie podzielonym na Wschód i Zachód jest miejsce Argentyny, a także napięcie, które pisarz Juan José Saer definiował jako walkę „rozbuchanego nacjonalizmu ze skrywaną lub jawną fascynacją literaturą europejską”¹⁵. Już w teście uważanym za kamień węgielny literatury argentyńskiej, w wydanym w 1845 roku eseju pt. *Facundo* późniejszego prezydenta Dominga Faustina Sarmienta, mamy do czynienia z jednej strony z bałwochwalczym zapatrzeniem w kulturowe modele importowane z Europy, z drugiej zaś z tezą mówiącą, że tematy, jakich powinna się trzymać literatura argentyńska, aby znaleźć dla siebie miejsce w literaturze światowej – i, w domyśle, przysłużyć się konstruowaniu argentyńskiej tożsamości – to amerykańska przyroda oraz walka cywilizacji z barbarzyństwem¹⁶.

14 F. Reati *Postales...*, s. 23.

15 J.J. Saer *El concepto de ficción*, Ariel, Buenos Aires 1997, s. 26.

16 D.F. Sarmiento *Facundo. Civilización y barbarie*, Cátedra, Madrid 1997, s. 75-76.

Tak oto już w jednym z pierwszych argentyńskich tekstów zarysowują się dwa niebezpieczeństwa, z którymi będą się zmagać przedstawiciele kolejnych pokoleń: „Scylla egzotyki i Charybda epigonizmu”¹⁷. Gra o niezależność rodzimego dyskursu literackiego, czyli w istocie o wypracowanie własnej tożsamości, trwająca w Argentynie – i szerzej, na całym kontynencie – co najmniej od początku XIX wieku, czyli od powstania w Ameryce Południowej niepodległych państw, sprowadza się w gruncie rzeczy do prób pokonania tych dwóch niebezpieczeństw. W tej perspektywie wiele zjawisk literackich, w tym również słynny latynoamerykański modernizm końca XIX wieku oraz realizm magiczny, można postrzegać jako swego rodzaju próby „wybicia się na niepodległość” – próby niezbyt udane: modernizm ze względu na „Charybdę”, realizm magiczny zaś – na „Scyllę”.

I ten właśnie sposób myślenia o kwestiach tożsamościowych zostaje, jak chce de Toro, diametralnie przewartościowany w związku z globalizacją oraz upowszechnieniem badań postkolonialnych w Ameryce Łacińskiej. Ów odchodzący według niego w przeszłość sposób myślenia dobrze charakteryzował pisarz martynikański, Édouard Glissant, twórca koncepcji tożsamości mnogiej czy też tożsamości-kłacza, gdy stwierdzał, że w ramach strategii obrony społeczeństwa poddane kolonizacji przejmowały od kolonizatorów katastrofalną w skutkach koncepcję tożsamości silnej, zamkniętej, „absolutnej”¹⁸. Przy czym, o ile jeszcze w latach 80., jak podkreśla de Toro, definiowanie tożsamości latynoamerykańskiej wiązało się z szukaniem tak absolutystycznie rozumianej własnej specyfiki, „chodziło więc o ukonstytuowanie podmiotu i przedmiotu, rozumianych esencjalistycznie, a zatem formowanych przez wykluczenie tego, co inne”, o tyle

dzisiaj taka esencjalistycznie pojmowana tożsamość [...] straciła uzasadnienie historyczne, nie tyle z powodu istnienia rozmaitych grup etnicznych, ile ze względu na umasowienie, rozpowszechnienie i komercjalizację produktów kultury, jednym słowem – w związku z globalizacją. Przy czym odwoływanie się do globalizacji bynajmniej nie oznacza sprowadzania świata do postaci szarej masy [...], jako że globalizacja właśnie otwiera nieskończone możliwości i wywołuje silną

17 A. Flisek *Literatura latynoamerykańska*, w: *Dzieje kultury latynoamerykańskiej*, PWN, Warszawa 2009, s. 373-374.

18 Krytyce tej koncepcji tożsamości poświęcił Glissant m.in. *Introduction à une poétique du divers*, Gallimard, Paris 1996.

reakcją przeciwko hegemonizacji, wzmacniając już nie tożsamość, lecz „różnię”, „odmienność” i hybrydyczność.¹⁹

Najnowsza literatura argentyńska odzwierciedla czy też raczej współtworzy dzisiejszy dyskurs tożsamościowy przynajmniej na trzy sposoby. Niektórzy pisarze – np. przedstawiciele głośnej kilka lat temu grupy McOndo – zdają się wpisywać w sygnalizowaną przez de Toro zmianę paradygmatu w ten sposób, że po prostu uznają, iż problem „twardej” tożsamości narodowej stracił współcześnie znaczenie, o czym zresztą piszą całkiem wprost: „Wielki temat tożsamości latynoamerykańskiej (kim jesteśmy?) ustąpił chyba miejsca tematowi tożsamości indywidualnej (kim jestem?)”²⁰. Inni z kolei, zamiast śladem macondystów uciekać przed Scyllą i Charybdą w opisy codziennych, często błahych doświadczeń indywidualnych, podejmują kwestię tożsamości latynoamerykańskiej i argentyńskiej w dobie globalizacji całkiem bezpośrednio, niekiedy wręcz w formie zbliżonej do manifestu, i odnosząc się m.in. do zjawisk opisywanych przez de Toro, wartościują je na rozmaite sposoby. Są też wreszcie tacy, którzy nie podejmują tematu tożsamości wprost, ale świat przedstawiony i materię narracyjną swoich tekstów kształtują w ten sposób, że kwestia ta zdaje się mimo wszystko wysuwać na pierwszy plan.

Do tej ostatniej grupy należy, jak się wydaje, César Aira, autor – między innymi – kilku powieści składających się na tak zwany cykl o pampie. Do podjęcia problematyki tożsamościowej i postkolonialnej może skłaniać lektura co najmniej trzech z nich: mam tu na myśli *Brankę Emę*, *Zająca* i *Epizod z życia malarza-podróżnika*²¹. Utwory te są w kontekście in-

19 A. de Toro *La postcolonialidad en Latinoamérica...*, s. 36-37. Co do tego, że globalizacja „nie oznacza sprowadzania świata do postaci szarej masy”, zgadzają się tacy badacze jak np. Arjun Appadurai, który w swojej książce *Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji* (Universitas, Kraków 2005), dowodzi, że globalizacja to proces polegający na niesłychanej dywersyfikacji kulturowej zachodzącej dzięki wytwarzaniu pęknięć w homogenicznych wcześniej wspólnotach, zob. np. podrozdział zatytułowany *Homogenizacja i heterogenizacja*, s. 49-66.

20 A. Fuguet, S. Gómez *Presentación del País McOndo*, w: *McOndo. Una antología de nueva literatura latinoamericana*, eds. A. Fuguet, S. Gómez, Grijalbo-Mondadori, Barcelona 1996, s. 3.

21 Czyli, odpowiednio, teksty zatytułowane *Ema, la cautiva*, *La liebre* i *Un episodio en la vida del pintor viajero*. Dla ułatwienia lektury podaję te tytuły w tłumaczeniu, choć powieści Airy nie zostały jeszcze przełożone na polski. Wszystkie cytaty pochodzą z następujących wydań: C. Aira *Ema, la cautiva*, Mondadori, Barcelona 1997; tegoż *La liebre*, Emecé, Barcelona 2002; tegoż *Un episodio en la vida del pintor viajero*, Mondadori, Barcelona 2005 i umiejscawiane są

teresujących mnie kwestii o tyle ciekawe, że nawiązując do poruszanych tu problemów, czynią to w sposób właściwy dla pisarstwa Airy, Aira zaś nie bez powodu uchodzi za mistrza absurdu i niekonkluzywności. Znany jest bowiem z tego, że od 1993 roku publikuje mniej więcej dwie (krótkie wprawdzie) powieści na rok, wprawiając czytelników w osłupienie raczej niekonwencjonalnym podejściem do materii fabularnej i narracyjnej swoich tekstów niż odważnym podejmowaniem kwestii politycznych. *Branka Ema*, *Zająca* i *Epizod* nie stanowią pod tym względem wyjątku: są to quasi-histeryczne opowiadania o przygodach kilkorga europejskich bohaterów we wczesnodziewiętnastowiecznej Argentynie – opowiadania, w których jednak daremnie szukalibyśmy poszanowania dla historycznych realiów, fabularnego prawdopodobieństwa czy, w wielu wypadkach, elementarnej logiki. A mimo to wszystkie te teksty zdają się wręcz prosić o postkolonialną z ducha interpretację, ba, właśnie dzięki temu, że są swoistą literacką zabawą, zdają się wzbogacać argentyński postkolonialny dyskurs literacki w zaskakująco nowatorski sposób.

3. Negatywny punkt odniesienia, czyli o perspektywie zewnętrznej i jej konsekwencjach

Wydaje się, że aby tekst poddawał się badaniom postkolonialnym, musi albo sam należeć do tradycji kolonialnej, albo posiadać negatywny punkt odniesienia w postaci innego tekstu – w szerokim tego słowa znaczeniu – należącego do tradycji kolonialnej. I, jak się okazuje, taki negatywny punkt odniesienia znajdujemy w trzech omawianych powieściach Airy od razu, przy czym są nim nie tylko konkretne teksty, ale wręcz pewna wpływowa i obciążona poważnymi konsekwencjami tradycja myślenia o Ameryce, w tym o Argentynie.

Uwagę czytelnika *Branki Emy*, *Zająca* i *Epizodu* zwraca przede wszystkim czas akcji: pierwsza połowa XIX wieku. Aira cyklicznie wraca do tradycyjnej, zdawałoby się, formy powieści historycznej, forma ta jest tu wszakże o tyle nietradycyjna (a zarazem charakterystyczna dla uprawianej w Ameryce Łacińskiej tzw. nowej powieści historycznej), o ile historia występuje tu nie jako ciąg zdarzeń – odwołań do wydarzeń historycznych właściwie brak – lecz jako zespół tekstów, do których wszystkie trzy omawiane

bezpośrednio w tekście wywodu za pomocą skrótów: dla *Branki Emy* – (BE, numer strony); dla *Zająca* – (Z, numer strony); dla *Epizodu* – (E, numer strony).

powieści nawiązują nieustannie, tak często że takie nawiązania stają się wręcz ich osią konstrukcyjną. Teksty te to relacje zwiedzających Amerykę Południową wczesnodziewiętnastowiecznych europejskich podróżników. Jak widzimy, negatywny punkt odniesienia w tradycji kolonialnej, do którego odsyła cykl o pampie, wiąże się z drugim (po etapie politycznej, trwającej od XVI do XVIII wieku kolonizacji) momentem definiującym kolonializm w jego wersji latynoamerykańskiej: z momentem, kiedy dawni kolonizatorzy, którzy z czasem stali się Kreolami i sami padli ofiarą mechanizmów kolonizacyjnych, zrzucają kolonialne jarzmo, przynajmniej w jego postaci politycznej, i budując niepodległe państwa, zaczynają zarazem budować swoją odrębną od metropolii tożsamość narodową.

W tym właśnie, kluczowym dla nich momencie, z przyczyn zupełnie niezależnych, a związanych z rozwojem nauk przyrodniczych, do Ameryki Południowej zaczęły ścigać pielgrzymki europejskich naturalistów (w XIX-wiecznym znaczeniu tego słowa), którzy obserwując amerykańską przyrodę, niejako przy okazji opisywali także inne, tj. polityczne, społeczne i kulturowe aspekty życia regionu. Ich zadanie – jako przedstawicieli kolonialnych potęg, które wprawdzie straciły bezpośredni polityczny wpływ na świeżo powstałe państwa Nowego Świata, ale bynajmniej nie rezygnują z pozycji dominującej, choćby pod względem kulturowym – było o tyle ułatwione, a zarazem poniekąd pionierskie, że przez kilka pierwszych dekad XIX wieku np. Argentyna jako organizm polityczno-kulturowy dopiero powstawała. I dlatego można zaryzykować tezę, że podobnie jak Orient – zgodnie z postawioną w *Orientalizmie* tezą Saida – został wymyślony przez zajmujących się nim zachodnich archeologów i historyków, tak Argentynę przez dziesięciolecia wymyślali europejscy podróżnicy – z Darwinem na czele. Miało to poważne konsekwencje m.in. dlatego, że opinie i poglądy europejskich podróżników skwapliwie podchwytywali europocentrycznie nastawieni miejscowi autorzy w rodzaju przywoływanego tu już Sarmienta.

Drugim, oprócz czasu akcji, elementem świata przedstawionego, zwracającym uwagę w cyklu o pampie, jest miejsce akcji. W procesie powstawania i wymyślania Argentyny – zarówno przez europejskich podróżników, jak i ich miejscowych admiratorów – pampa, fascynująca wszystkich swym ogromem i egzotyką, odgrywała zawsze niepoślednią, choć najczęściej negatywną rolę. Jako matecznik Indian, a później gauczów, w obrębie centralnej dla kultury argentyńskiej opozycji cywilizacja – barbarzyństwo zawsze wiązała się z jej drugim członem, nieodmiennie – czy to w początkach

kolonizacji hiszpańskiej, czy w okresie kształtowania się niepodległej Argentyny – pozostając silnym kontrapunktem dla „cywilizowanego” Buenos Aires. Sandra Contreras, autorka monografii o Airze, pisze:

Opowieść o podróży przez pampę/pustynię to w literaturze argentyńskiej osobna narracyjna konwencja, wymyślona, jak wiadomo, przez angielskich podróżników. I mowa tu nie tylko o podstawowych obrazach, za pomocą których tworzy się wizję kraju, ale również – i przede wszystkim – o ustanowieniu pewnej perspektywy. Począwszy od czasów romantyzmu [...] pisarze argentyńscy przemierzają i opisują swój kraj z perspektywy podróżnika, cudzoziemca. Ten właśnie punkt widzenia legł u podstaw naszej literatury.²²

Contreras definiuje w ten sposób, niejako mimochodem, jeden z wymiarów kolonialnej zależności w takiej formie, w jakiej zaistniała ona w Argentynie. Zależności, można by rzec, już w tym miejscu ukazującej podwójne ostrze, bo związanej z jednej strony z tym, że Argentyńcy na całe dziesięciolecia przyjęli tę, tak to nazwijmy, „perspektywę zewnętrzną”, z drugiej zaś z tym, że w tekstach pisanych przez cudzoziemców szukali swojej tożsamości.

To z kolei miało dalekosiężne konsekwencje, ponieważ w oczach owych cudzoziemców o tożsamości Ameryki Łacińskiej stanowiła jej egzotyka, czyli innymi słowy, jej odmienność, opozycja wobec tego, co europejskie. Po przyjęciu takiej perspektywy Argentyńczykom nie pozostawało więc nic innego, jak budować swoje zbiorowe Ja w ciągłej opozycji do Europy i gorączkowo poszukiwać istoty latynoamerykańskości. W literaturze zawoocowało to szeregiem zjawisk – od XIX-wiecznego kostumbryzmu przez regionalizm po realizm magiczny – odpowiadających w gruncie rzeczy na zapotrzebowanie europejskiej krytyki literackiej, której oczekiwania względem literatury latynoamerykańskiej bezceremonialnie wyłożył w 1907 roku Valery Larbaud, utrzymując, że literatura ta winna dostarczać czytelnikowi „wizerunków zagubionych w tropikach wiosek; białych, zmysłowych, antylskich miast; klasztorów w samym sercu czarnych Andów”²³ itd. Postawa ta, pokutująca zresztą do dziś wśród wielu europejskich miłośników *Stu lat*

22 S. Contreras *Las vueltas de César Aira*, Beatriz Viterbo, Rosario 2002, s. 47-48.

23 V. Larbaud *La influencia francesa en las literaturas de lengua castellana*, „El Nuevo Mercurio”, Paryż, kwiecień 1907, s.12 (przeł. A. Flisek).

samotności Garcíi Márqueza, długo była przez latynoamerykańskich intelektualistów przyjmowana ze zrozumieniem i aprobatą, a w mniej groteskowej niż u Larbauda, unowocześnionej wersji pojawiała się nawet u największych XX-wiecznych teoretyków latynoamerykańskości, takich jak Peruwiańczyk José Carlos Mariátegui, który w latach 20. ubiegłego wieku pisał: „Europa chce od nas przede wszystkim ekspresji nas samych”²⁴. Mariátegui jako zapalony marksista był też mocno wyczulony na niebezpieczeństwa europejskiego imperializmu, a jednak posłużył się sformułowaniem o tyle niebezpiecznym, że, jak przekonywali się pisarze argentyńscy przez dwa wieki i w pewnym sensie przekonują się do dziś, mogącym służyć za elegancką przykrywkę dla modelowej relacji między skolonizowanym i kolonizatorem, bo, jak sygnalizował Glissant, zmuszającym skolonizowanego do esencjalistycznego pojmowania własnej tożsamości.

Interesujące mnie tu powieści Césara Airy, eksplicytnie nawiązując do relacji XIX-wiecznych europejskich podróżników, zdają się tematyzować wszystkie powyższe kwestie. Przy czym, wychodząc od prostego zanegowania niektórych typowych dla tych relacji schematów, prawie od razu zamieniają się w coś w rodzaju świadomie niespójnej tekstowej gry, w ramach której, dzięki eksperymentowaniu z punktami widzenia oraz z kategorią umowności, zdekonstruowany zostaje koncept silnej tożsamości, co należy uznać za próbę wyrwania się z zakłętego kręgu, w którym literatura argentyńska szamocze się od dwóch stuleci, usiłując określić, jak brzmi jej indywidualny głos.

4. Centrum i peryferie, czyli zagadki perspektywy

Do jakich więc konkretnie relacji nawiązują *Branka Ema*, *Zajac* i *Epizod*? Na początku XIX wieku Nowy Świat przyciągał naturalistów i podróżników (nie tylko angielskich) z wielką mocą. W latach 1799–1804 po Ameryce Południowej podróżował Aleksander von Humboldt, który wyniki swych badań przedstawił w trzydziestotomowym dziele. Między rokiem 1831 a 1836 podróż dookoła świata odbył Karol Darwin. W jego *Podróży na okręcie „Beagle”* rozważania poświęcone Ameryce Południowej, a zwłaszcza

24 To słynne i często cytowane zdanie pochodzi z krótkiego artykułu pt. *Itinerario de Waldo Frank*, opublikowanego pierwotnie 4 grudnia 1929 roku w wydawanym w Limie czasopiśmie „*Variedades*”. Artykuł ten jest dostępny na stronie http://www.marxists.org/espanol/mariateg/oc/el_alma_matinal/paginas/waldo%20frank.htm (25.11.2014).

Argentynie, zajmują dziewięć z dwudziestu jeden rozdziałów. Humboldt i Darwin pojawiają się u Airy bezpośrednio, a było przecież wielu innych: Félix de Azara, Alcide d'Orbigny, Thomas Falconer...

Jeśli więc pragnęło się w tych tekstach odnaleźć wskazówki co do swojej, tj. latynoamerykańskiej czy też argentyńskiej tożsamości, miało się gdzie szukać. Co jednak można było tam znaleźć? Przywołajmy tylko jeden fragment z Darwina:

Pierwszej nocy spaliśmy w odludnym domku wiejskim i tam od razu przekonałem się, że posiadam dwa czy trzy przedmioty, które budzą bezgraniczny zachwyt; do nich należał przede wszystkim kompas kieszonkowy. [...] Budziło to najwyższy podziw, że ja, obcy przybysz, potrafię wskazać drogę do miejscowości, w których nigdy nie byłem [...]. Ich podziw był wielki, ale większe moje zdziwienie, że spotyka się tyle ignorancji wśród ludzi, którzy posiadali parę tysięcy bydła i rozległe „estancias”. Można wytłumaczyć to tylko tym, że tę odludną część kraju rzadko odwiedzają obcy.²⁵

Już w tym fragmencie znajdujemy większość elementów charakteryzujących spojrzenie Europejczyka na „kulturę niższą”: zdziwienie miejscową ignorancją i (czasem skrytym pod cienką warstwą poloru) barbarzyństwem, pobłażliwość, ironię, mentorski ton. Zacytowany fragment, podobnie jak wiele innych, nie pozostawia cienia wątpliwości co do tego, gdzie na kulturowej mapie świata znajduje się centrum, a gdzie peryferia. W takich właśnie tekstach Argentyńczycy szukali swojej tożsamości i do takich właśnie, z takiej perspektywy pisanych relacji nawiązuje César Aira co najmniej trzykrotnie. Nawiązuje w sposób bardzo wyraźny, bowiem robi to już na poziomie fabularnym.

W 1981 roku publikuje *Brankę Emę*, pierwszą powieść z cyklu o pampie. W jej pierwszej części narracja prowadzona jest z punktu widzenia francuskiego inżyniera, Duvala, „zaangażowanego przez rząd centralny do wykonania specjalistycznych prac na granicy, ku której młody ów człowiek wyruszył kilka dni po przyłynięciu do Argentyny, przyłączywszy się do konwoju ze skazańcami” (BE, 14). Dziesięć lat później, w 1991 roku, Aira wydaje *Zająca*, którego bohater, młody angielski naturalista Clarke, mający wiele wspólnego z Darwinem, wyrusza z Buenos Aires na argentyńską pampę

25 K. Darwin *Podróż na okręcie „Beagle”*, przeł. K. Szarski, Egis-Libron, Kraków 2008, s. 55-56.

w poszukiwaniu rzadkiego zwierzęcia, tytułowego zająca, *la liebre legibriana*, którym są „zainteresowane pewne naukowe instytucje europejskie” (Z, 20). Wreszcie w 2000 roku ukazuje się *Epizod z życia malarza-podróżnika*: tu podróż w głąb Argentyny podejmuje bliski współpracownik Aleksandra von Humboldta, niemiecki malarz nazwiskiem Rugendas. Nawiązania do relacji europejskich podróżników są więc w trzech powieściach cyklu o pampie bezdyskusyjne, a sytuacja wyjściowa tychże powieści jest prawie identyczna: reprezentant Europy przybywa do Argentyny, by ją cywilizować albo poddawać naukowej i/lub artystycznej obserwacji.

Przy czym zarówno Duval, jak i Clarke oraz Rugendas – w przeciwieństwie do Darwina czy Humboldta, jakich znamy z ich pism – okazują się mało przekonujący w roli przedstawicieli kultury centralnej. Rugendas, który „w wieku trzydziestu pięciu lat, był nieśmiały i zniewieściały, i niezgrabny jak nastolatek” (E, 18), po wypadku przeżyтым na pampie traci resztki kontroli nad tym, co go otacza, a nawet nad samym sobą, ponieważ nie ma „czasu, by rozwinąć jakiegokolwiek rozumowanie, a to z powodu ataków, które zdarzały się mniej więcej co trzy godziny” (E, 55). Clarke rychło ulega „barbaryzacji”, Duval zaś do tego stopnia nie orientuje się w miejscowych warunkach, że w ludziach obytych z pampą wzbudza wyłącznie pogardę. Zamiast „szerzyć cywilizację”, zdaje się przede wszystkim niepokoić, a nawet bać. A jeśli nawet podejmuje jakąś aktywność typową dla naturalistów, jego motywy okazują się nietypowe: „Zaczął tworzyć kolekcję [owadów], powodowany nie tyle naukowym zapałem naturalisty, ile dziecinny upodobaniem do rozkładania swoich zbiorów na kocu podczas postojów” (BE, 35). Wszyscy trzej zanurzają się w rzeczywistość nowego kontynentu, można by rzec, z głową i zamiast tę rzeczywistość instrumentalnie badać albo próbować zmieniać, zdają się w niej szukać – mniej lub bardziej świadomie (mniej w przypadku Clarke’a, bardziej w przypadku Duwala, a szczególnie Rugendasa) – czegoś, co zmieni ich samych; spodziewają się po Ameryce „czegoś, czego w starej Europie nikt im nigdy nie pokazał i czego mieli się nauczyć w amerykańskich lasach, za cenę roztopienia się w nich” (BE, 36-37).

W dodatku świat, do którego przybywają trzej przedstawieni przez Airę kolonizatorzy *in spe*, zupełnie nie spełnia ich oczekiwań i nie jest zgodny z ich wyobrażeniem o tym, co zastaną. Przykładowo Clarke, wyruszając w podróż po interiorze, jest przekonany, że „dzicy” będą się wykazywać „nieprzewyciężoną niechęcią do mówienia, chyba że byłoby to absolutnie konieczne” (Z, 40), tymczasem Indianie, których spotyka po drodze,

okazują się „niepoprawnymi gawędziarzami” (Z, 37) (choć, jak zauważa towarzyszający Clarkowi gauczo Gauna, może to wynikać z faktu, że mają inną definicję „absolutnej konieczności”) i, co więcej, swoją pozycję na kontynencie postrzegają z anachroiczną w kontekście świata przedstawionego przenikliwością postkolonialnego krytyka. Podobnie, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, zamieszkujący pampę gauczowie okazują się ludźmi „kurtuazyjnymi prawie do przesady” (BE, 68).

Wszystko to dziwi bohaterów Airy tym bardziej, że podkreślana przez wielu historycznych odkrywców dziwność Ameryki zostaje w omawianych powieściach spotęgowana, a zarazem wręcz doprowadzona do absurdu. Argentyna, do której trafiają Duval, Clarke i Rugendas, jest krajem, w którym wszystko zdaje się funkcjonować wedle jakichś nieuchwytnych dla nich praw: drogę podróżnikom umila śpiew nie tylko świerszczy, ale i motyli, a konie znajdują upodobanie w jedzeniu żab; kaczkę ważą po czterdzieści kilogramów, na leśnych polanach można się zaś natknąć choćby na „rozpłaszczoną papugę, cienką jak papier” (BE, 93). Formy, w jakich objawia się tu przyroda, wydają się zniekształcone, przy czym w niektórych wypadkach owo zniekształcenie sprowadza się do niemożności uchwycenia formy: „Widzieli też ciekawego owada wielkości gołębia, rodzaj modliszki nazywanej przez gauczów *tata-dios*, tak rozczłonkowanego, że nie dało się ustalić, jak ostatecznie wygląda, ponieważ za każdym razem rozwijał swe kształty nieco bardziej” (BE, 36).

Rzuceni w ten świat bohaterowie Airy, zdawszy sobie sprawę z owych rozbieżności między własnymi wyobrażeniami na temat Ameryki a jej rzeczywistością, nie próbują, zwyczajem kolonizatorów okiełznać jej za pomocą znanych sobie kategorii, nie chcą, zwyczajem naturalistów, wykorzystać jej do udowodnienia swoich teorii, lecz jak Duval, czują, że „będą musieli nauczyć się poruszać od nowa, uważnie jak tancerze, by nie uwięznąć ani na chwilę w tej tajemniczej sieci” (BE, 53). Można wręcz powiedzieć, że Europejczycy Airy tym różnią się od większości historycznych kolonizatorów, że są otwarci na inność, w przeciwieństwie do np. Kolumba – a przecież jego błąd, w formie mniej może jaskrawej, powtarzało wielu innych, zarówno XVI-, jak i XIX-wiecznych odkrywców – który tak bardzo pragnął znaleźć w Nowym Świecie Indie, że nigdy nie odkrył Ameryki. W tym sensie Duval, Clarke i Rugendas swoją postawą, wśród rzeczywistych XIX-wiecznych podróżników niespotykaną, mniej nawiązują do archetypicznych, agresywnych i niezainteresowanych odmiennością konkwistadorów w rodzaju Cortesa czy Pizarra, bardziej zaś do takich postaci w dziejach stosunków

między Starym i Nowym Światem jak XVI-wieczny hiszpański odkrywca północnych wybrzeży Zatoki Meksykańskiej, Alvar Cabeza de Vaca, który w trakcie swojej ośmioletniej podróży w gruncie rzeczy kulturowo zamienił się w Indianina.

Jednakże jeszcze ważniejsze od tych stosunkowo prostych zabiegów polegających na zanegowaniu standardowego obrazu reprezentanta centrum wydaje się to, kiedy i jak do świata przedstawionego omawianych powieści zostają wprowadzeni europejscy bohaterowie. Pojawiają się bowiem *in medias res*: sama konstrukcja powieści sprawia, że wkraczają w świat już „rozpoczęty”, w sam środek rzeczywistości, która już istnieje, niejako gotowa. Dziewiętnastowieczni naturaliści, zainteresowani przede wszystkim amerykańską przyrodą, traktowali Amerykę Południową jako kontynent bez historii, a jej rzeczywistość – jako surowy materiał do wykorzystania przy konstruowaniu własnych teorii: czytając pierwszoosobową relację Darwina, odnosi się wrażenie, że w Nowym Świecie wszystko, co istotne z kulturowego punktu widzenia, rozpoczyna się dopiero wraz z jego wizytą. W cyklu o pampie – przeciwnie: nie na darmo Indianie z *Branki Emy* „ciągle odwołują się do prehistorii, swojej ulubionej teorii” (BE, 79). Taki sposób wprowadzania europejskich bohaterów przy jednoczesnym wyrazistym nawiązywaniu do tradycji, w której punkty widzenia rozkładały się zupełnie inaczej, zdaje się nieść ze sobą poważne konsekwencje: ponieważ Duval, Clarke i Rugendas zamiast dawcami dyskursu są u Airy obiektami opisu, niejako zrównanymi w prawach z resztą, tracą dominującą pozycję jedyne go mającego głos podmiotu, a ich perspektywa przestaje funkcjonować jako jedyna obowiązująca.

Przy czym tekstowa gra bazująca na multiplikowaniu perspektyw bynajmniej nie kończy się na tym, powiedzmy, strukturalnym przesunięciu. Jedną z najbardziej charakterystycznych cech narracji w cyklu o pampie jest bowiem nieustanne i dokonujące się często w ramach jednego zdania „przeskakiwanie” od jednego punktu widzenia do drugiego. Zmiany między punktami widzenia licznych, pierwszo- drugoplanowych bohaterów, a punktem widzenia narratora, następują nagle i w sposób często zaskakujący, co wprowadza ogromne zamieszanie semantyczne. Weźmy choćby taki fragment, opisujący skutki burzy w indiańskim obozie:

Księżę, który zapewnił sobie odpoczynek, zażywając ogromne ilości środków nasennych, przyszedł do siebie ostatni i najbardziej się zdziwił. Bez słowa obserwował drzewa czubkami do dołu, swoich ludzi

odkopujących przysypane piaskiem konie, fantastyczne ukształtowanie terenu, tak różne od wczorajszej płaskości. Jednakże wspinała czerwień zwiastowała już wschód słońca, ptaki śpiewały jak gdyby nigdy nic, więc dzicy wstali z charakterystyczną dla siebie łaskawą wyższością. (BE, 115)

Ponieważ w początkowej partii tego fragmentu dominuje perspektywa indiańskiego księcia, następująca na koniec zmiana punktu widzenia sygnalizowana użyciem słowa „dzicy” powoduje pewną dezorientację. Ta gra perspektyw stanowiąca o charakterze narracji w cyklu o pampie jest w nim też nieustannie tematyzowana na płaszczyźnie fabularnej. Wszystkim europejskim bohaterom cyklu przytrafia się na pampie coś, co zmienia ich punkt widzenia. W wypadku Duvala jest to zrozumienie umowności wszystkich znanych mu kategorii pojmowania świata, w wypadku Clarke’a – odkrycie własnego indiańskiego pochodzenia, w wypadku Rugendasa – uderzenie pioruna, w wyniku którego twarz bohatera zostaje zdeformowana, on sam zaś traci poczucie tożsamości. Patrząc na niego, jego towarzysz Krause dochodzi w pewnym momencie do wniosku, że „z wnętrza takiej magicznie plastycznej gumy świat musiał wyglądać zupełnie inaczej” (E, 55).

Co więcej, w cyklu o pampie – zawierającym wiele sygnałów metafikcyjnych, a niekiedy wręcz autotematycznych – problem perspektywy jest nie tylko sygnalizowany za pośrednictwem sposobu narracji oraz tematyzowany za sprawą ukształtowania świata przedstawionego, ale również pojawia się w formie dyskursywnej. Na przykład w *Zającu* pojawia się znamiona w tym kontekście figura horyzontu:

Cieniutka, cieńsza niż kiedykolwiek linia horyzontu skrywała zawsze połowę graczy; a jednocześnie każdy znajdował się nieustannie w centrum tego kręgu. Wszystko było ruchem; pasy ziemi migały w zawrotnym tempie; słońce świeciło raz z tej, raz z innej strony. Przestrzeń obracała się co chwila i człowiek miał wrażenie, że wisi nagle do góry nogami. Tam! A teraz tam! Ale ani tam, ani tam dla Clarke’a, którego punkt widzenia nie tylko się przesunął, ale w gruncie rzeczy zmienił. (Z, 47)

Ten fragment, stanowiący zresztą apogeum dających się zaobserwować w cyklu o pampie zakłóceń przestrzennych, eksplicytnie wprowadza

kategorię centrum i w pewien sposób zdaje się wyjaśniać cel wszystkich przeprowadzonych w *Branche Emie*, *Zającu* i *Epizodzie* eksperymentów z perspektywą. Powieści Airy, stawiając w opozycji do nieruchomego centrum kategorii zmiennego horyzontu i ruchu, zdają się sugerować, że związana z nimi mnogość perspektyw, a tym samym względność w postrzeganiu świata sprawia, że nie ma sensu pytanie o to, która z owych perspektyw jest „tą właściwą”, tą prawomocną. W zacytowanym wyżej fragmencie z *Zająca*, w związku ze zmiennością horyzontu, każdy jest w centrum, co oznacza, że centrum w rzeczywistości nie ma. W całym cyklu o pampie, gdzie centrum w sensie narracyjnym rozpływa się w grze perspektyw, a tradycyjne centrum w sensie geograficzno-ideologicznym – czyli Europa – jest słabe, co daje się poznać po jego przedstawicielach, kategorie centrum i peryferii okazują się głęboko umowne.

5. Co dla kogo znaczy „zająć”, czyli o wyzwajających właściwościach umowności

Do perfekcji widać to np. we fragmencie opisującym zaskakująco wytworną kolację w argentyńskim interiorze, kolację, podczas której Duval

był rad okazji, choć miał melancholijną świadomość, że wyrafinowana konwersacja oraz zręczność, z jaką gospodarze zmuszali go do odgrywania wzdarcia wyższości typowej dla mieszkańców metropolii, były jedynie złudzeniem, które miało się rozwiać w mgnieniu oka. (BE, 24)

Wyższość przybysza jawi się w tej perspektywie jako całkowicie umowna. Tak jak umowne w cyklu o pampie wydaje się zresztą wszystko inne.

Nie bez powodu w całym cyklu, a zwłaszcza w *Zającu*, aż się roi od nawiązań do *Przygód Guliwera* Swifta i *Przygód Alicji w Karinie Czarów* Carrolla. Towarzyszący Clarke’owi Kreol Carlos Álzaga Prior *explicitie* porównuje go do Guliwera, a rzeczywistość na pampie jawi się Anglikowi raz zminiaturyzowana, raz nienaturalnie wyolbrzymiona²⁶. Echa *Alicji* dają się też wy-

26 Podobnie zresztą jest w *Branche Emie*, gdzie czytamy np.: „W końcu wśród wszechogarniającej bieli dały się dostrzec szare cienie, które w pierwszej chwili wzięli za chmury. Były to jednak drzewa [...]. Wydały im się gigantyczne. Potem jednak, w miarę jak się zbliżali, zaczęły nabierać normalnych rozmiarów, aż wreszcie, gdy zatrzymali się na pokrytej drobnym piaskiem plaży, wszystko skurczyło się do mikroskopijnych rozmiarów” (BE, 117).

chwycić w takich scenach jak np. ta, kiedy, podczas wizyty w „stolicy cesarstwa Mapuchów” (Z, 29), Clarke stwierdza, że „dwaj młodzieńcy wydawali mu się wyjątkowo uprzejmi i wyjątkowo racjonalni, zapewne dlatego, że według zasad obowiązujących wśród Indian było wręcz przeciwnie” (Z, 30).

Szczególnie wyrazistą figurą umowności jest w cyklu o pampie język. Clarke wyrusza na pampę w poszukiwaniu ciekawych gatunków zwierząt, a konkretnie jednego z nich: tytułowego zająca. Problem w tym, że od samego początku nie jest jasne, czy ów zając to w ogóle zwierzę, a dotyczące tej kwestii wątpliwości Clarke'a potęgują się wraz z zagłębianiem się w interior. Przynajmniej przede wszystkim właśnie za sprawą używanego przez Indian języka. Zaraz na początku podróży, Clarke, bawiąc u Indian w gościnie, dowiaduje się, że wszyscy idą oglądać „zajaca, który zerwał się do lotu” (Z, 28). Zdumiony podróżnik bezskutecznie usiłuje dojść, co mają na myśli.

powiedzieli mu, że faktycznie, biały zajączek (w ich języku „biały” i „bliźniak” były jednym słowem) zerwał się do lotu i chyba go nawet widzieli w górze. Opowiadając o tym, używali przyrostka „iń”, który podkreślał aspekt przeszły czynności, a mógł znaczyć: „przed minutą”, „przed tysiãcem lat” albo „wcześniej”. (Z, 30)

Clarke, nie bardzo wierząc w to, co słyszy, zastanawia się „czy to z zającem naprawdę się zdarzyło, czy raczej był świadkiem jakiegoś przedstawienia albo rytuału” (Z, 30-31). Pewne światło rzuca na całą sprawę dopiero gauczo Gauna:

Mapuche mówią: zając „zerwał się do lotu”. To wyrażenie w ich języku znaczy również „został ukradzony”, „podwędzony”. My, nie rozumiejąc, oczywiście, tych dwuznaczności, chwytamy się pierwszego znaczenia, a oni mają niezłą zabawę. Nawet kiedy pyta ich pan, czy nie było to aby przedstawienie, mogą sobie pozwolić na powiedzenie prawdy będącej zarazem kłamstwem, co zresztą robią zawsze. Nawiasem mówiąc, powiem panu, co do „zajaca”, że jestem przekonany, iż chodzi o po prostu o nazwę jakiegoś cennego przedmiotu. (Z, 30-38)

Figurą umowności jest tu więc nie tylko język, ale również tytułowy zając, który ostatecznie okazuje się metaforą tożsamości Clarke'a: adoptowany przez mieszczan z Kentu Clarke jest, jak wychodzi na jaw, synem jednego z indiańskich wodzów, bratem bliźniakiem indiańskiego księcia,

ojcem pochodzącego z Buenos Aires Kreola Carlosa, szwagrem gaucza Gauny i żywą legendą funkcjonującą wśród indiańskich plemion pod wieloznaczną nazwą „zając”.

Bowiem względne i umowne okazują się w cyklu o pampie przede wszystkim te kategorie, które tradycyjnie określają tożsamość. Do swego rodzaju ról sprowadza się więc przynależność do sfery centrum lub peryferii, do „oboazu” cywilizacji bądź barbarzyństwa: jako szczególnie wymowny symbol jawią się w tym kontekście małe Indianki bawiące się w branki (BE, 60). Poważne wątpliwości budzi jednak także przynależność rasowa poszczególnych bohaterów. O gauczu Gaunie dowiadujemy się np. że „musiał być na wpół Indianinem, choć żółtawa i pomarszczona twarz upodabniała go do Chińczyka” (Z, 27). Indianie, którzy kąpią się w zasolonym jeziorze, po wyschnięciu, z solą na skórze, „robią się biali jak duchy” (Z, 73). Nawet branka Ema, która, jako branka, jest biała, choć ten „szczegół niekoniecznie rzucał się od razu w oczy” (BE, 96), czasem wygląda na Indiankę, a czasem wręcz na Murzynkę! Przykładem szczególnym jest, oczywiście, Clarke. Czytamy o nim, że „miał bardzo ciemną skórę i czarne włosy, nie wyglądał na Anglika, choć oczywiście zdarzali się wśród nich i tacy, podobni do Indian [...], co zauważył Rosas [Argentyńczyk], który z kolei ze swoimi jasnymi włosami i rumianymi policzkami bardzo przypominał stereotypowego Anglika” (Z, 12).

W tych warunkach ciekawie przedstawia się w cyklu o pampie kategoria inności, którą powieści Airy podważają na co najmniej dwa sposoby. Z jednej strony zdaje się ona tracić rację bytu jako umowna w takim samym stopniu, jak wszystko inne, z drugiej zaś – jako nieprzydatna ze względu na swoją pojemność. Za pomocą omówionej wyżej zmienności perspektyw cykl o pampie rozszerza bowiem kategorię inności, tematyzując kwestię Innego następująco: Innym staje się ten, kto jest przedmiotem, a nie podmiotem opowieści. W *Branche Emie, Zającu i Epizodzie* Innym są więc po kolei wszyscy. Tym bardziej, że niektórzy, jak pozbawiony twarzy Rugendas, stają się Innymi dla samych siebie.

W związku ze wszystkim, co zostało powiedziane wyżej, w cyklu o pampie zamiast brutalnego starcia „Innych”, starcia, którego stawką byłaby dominacja nad resztą uskuteczniana w imię własnej, esencjalistycznie pojmowanej tożsamości, mamy swego rodzaju tekstową grę. Strategia przyjęta przez Airę bardzo różni się więc od strategii innych teoretyków i twórców, szukających dla Argentyny miejsca na kulturowej mapie świata. W cyklu o pampie Aira nie twierdzi ani że centrum jest w Europie, a zatem

Argentyna to peryferie, ani na odwrót, nie usiłuje też określić, co to znaczy być „Argentyńczykiem”. Ogranicza się do gry pojęciami. „Ogłosić się marginalnym – czyli ekscentrycznym – oznacza tyle, co wyznaczyć centrum w samym obwodzie, uznać istnienie tradycyjnego centrum i określić się wobec niego”, pisze Sylwia Molloy²⁷. Tego błędu cykl o pampie nie powtarza. Znosi tradycyjne opozycje w tekstowym żywiole, aby, broń Boże, przypadkiem nie zakreślić wokół siebie zaklętego kręgu, z którego, jak mówi Indianin Cafulcurá, nie tak łatwo się wydostać.

Abstract

Barbara Jaroszuk

UNIVERSITY OF WARSAW

"At this hour all things mingle and agree": the stakes of an Argentine game of postcolonialism

Scholars of Latin-American literatures and cultures have tended to be suspicious of postcolonial studies, but recently their doubts were overcome. Jaroszuk explores the growing impact of postcolonial studies on debates concerning Latin-American identities. César Aira's cycle on the pampa is among the many contemporary Argentine texts marked by what Alfonso de Toro describes as a shift in the identity paradigm. Jaroszuk examines three novels from this cycle: *Enma*, *the captive*, *The hare* and *An episode in the life of a landscape painter*.

27 S. Molloy *Tekstowe pieczęcie*, przeł. M. Kurek, w: *W poszukiwaniu Alefa. Proza hispanoamerykańska w świetle najnowszych badań*, Wydawnictwo UWr, Wrocław 2007, s. 37.